

Jacek Wojciechowski

"Antyporadnik czyli jak nie należy używać komputera w małej bibliotece. Poradnik", Aleksander Radwański, Warszawa 2016 : [recenzja]

Biblioteka 21 (30), 315-318

2017

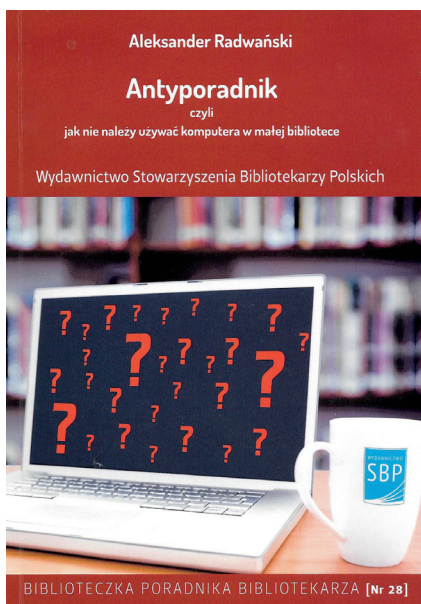
Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

JACEK WOJCIECHOWSKI

Aleksander Radwański, *Anty poradnik czyli jak nie należy używać komputera w małej bibliotece*.

Poradnik, Warszawa: Wydawnictwo SBP 2016, s. 59
(Biblioteczka „Poradnika Bibliotekarza” [Nr 28])



Nie wiem, czy właśnie tak zleceńodawcy wyobrażali sobie porady i anty-porady **Aleksandra Radwańskiego** dla bibliotekarzy w małych (w większych zresztą też) bibliotekach, jak radzić sobie z technologią komputerową i z całym internetowym nawisem. Gdybym jednak miał pracować w niewielkiej bibliotece, czyli jednoosobowo, to przyjąłbym je z zadowoleniem. To jest bowiem rzadki w naszym piśmiennictwie i w sieciowym gaworzeniu przypadek, kiedy mówi się o **wspomaganiu** bibliotecznej praktyki przez maszyny i urządzenia, a nie o biciu przed nimi czołem. Rzadki – a jednocześnie kompetentny.

Autor, zanim stał się uznanym specjalistą w zakresie biblioteczno-informacyjnej technologii, zajmował się też bibliotekarstwem w rozmaitych przejawach oraz także uniwersytecką dydaktyką w szerokim rozumieniu, toteż bardzo dobrze wie, o czym, do kogo i po co mówi/pisze. To nieczęste, bo nasze i zagraniczne piśmiennictwo informatologiczne ma się nieraz do bibliotecznej praktyki jak pingwin do szympansa. Dlatego tym razem pożytek dla bibliotekarzy – ale również dla co dociekliwszych koncepcjonistów – jest niezaprzeczalny.

Bo wprawdzie ma ten poradnik charakter poniekąd strażacki, studzi bowiem nadmierny zapach, ale jednak w sumarycznym rozliczeniu okazuje się wysoce doradczy, rzeczywiście. Proponuje mianowicie racjonalność

oraz umiarkowanie – na przekór rozpasanym sugestiom, jak popsuć sobie zawodowe życie, wkładając nieostrożnie palce pomiędzy digitalne tryby. Radwański zachwala normalność.

W jego wersji komputery wraz z ich sieciowym zapleczem to po prostu urządzenia, niepospolicie użyteczne wprawdzie, lecz to w pewnym sensie podobne ustrojstwa jak suszarki do włosów. Trzeba zagnać toto do roboty, a nie wikłać się w unізone lansady.

W wielokrotnie szerszym wymiarze, mniej więcej tak samo – tyle że w odniesieniu w ogóle do tzw. sztucznej inteligencji – sędzi światowej sławy specjalistka, prof. **Margaret Boden**¹ z Sussex University w angielskim Brighton. Oboje zgodnie sugerują, że rządzić mają ludzie, a nie maszyny.

Wśród innych wypowiedzi Radwańskiego, namawiających ogólnie do **normalności** właśnie, warto wyróżnić jeszcze zachętę, żeby dać sobie spokój z bibliotecznym *misjonarstwem*. Bo to nie ta firma. Tymczasem rozpleniała się gadanina o misji bibliotek, tak bowiem spolszczono angielski termin *mission*, nie bacząc, że potocznie określa się w ten sposób *zadanie*, a nie żadne posłannictwo. Wystarczy po prostu porządnie uprawiać ten zawód.

A już inna sprawa, że wyłączyłbym spod takiego zastrzeżenia oraz spod antyporady wdrażanie użytkowników do korzystania z Internetu. Misjonarzem elektroniki nie trzeba być, natomiast informacyjne przysposobienie, **także** w bibliotekach – na miarę potrzeb i możliwości – ma jednak swój sens, więc dobrze, że jest praktykowane. Umówmy się, że z pozytywnym skutkiem, choć nie w takiej skali ani efektywności, żeby zbawić całe społeczeństwo. W ogóle bowiem poziom umiejętności korzystania z informacyjnej oferty jest o wiele gorszy, niż się przypuszcza².

W odniesieniu do komputerów oraz ich wyposażenia autor namawia do korzystania z rozwiązań standardowych, czyli wykupionych. Po to są profesjonalni wytwórcy, żeby nabywca – bez amatorskiej innowacyjności – mógł zająć się korzystaniem, bo w końcu za to zapłacił. Natomiast warto kupić możliwie dobry sprzęt, który wytrzyma kilka lat, w czym przepis o zamówieniach publicznych wspaniale przeszkadza, ale (powiem z doświadczenia) można sobie z tym poradzić. No i trzeba włączyć się do systemu (których według mnie jest w Polsce o wiele za dużo), już to według jednostki nadrzędnej bądź najpowszechniej użytkowanego w okolicy. Taki jest najlepszy pomysł na skuteczne i mało awaryjne funkcjonowanie.

¹ M.A. Boden, *AI. Its nature and future*, Oxford 2016, s. 34, 154, 157.

² A.L. Anderson, *Conceptualization and practice of information literacy instruction in community colleges*, Ames 2016, s. 17, 20–21 [dokument elektroniczny].

Natomiast próby ingerencji własnych i majstrowania częściej powodują bałagan, niż miałyby przynieść jakiegokolwiek pożytku.

Autor jest też zdania, że najlepiej byłoby we własnym zakresie administrować komputerami w swojej bibliotece. Chyba że przynależy się do jakiegoś skoooperowanego zespołu bibliotek lub do bibliotecznej sieci organizacyjnej, gdzie takie administrowanie jest zapewnione z urzędu. Jeżeli nie, to w grę wchodzi alternatywa zlecenia zewnętrznego takiej obsługi, jednak dopiero po wyszukaniu życzliwie nastawionej firmy lub odpowiednio spolegliwego informatyka. Teoretycznie: nic dodać, nic ująć. Natomiast przyznam się, że w *realu* nikogo takiego, ani takiej firmy, jakos nie miałem szczęścia spotkać.

Podobne wątpliwości oraz kłopoty dotyczą serwera i długotrwałej archiwizacji zwiększonej ilości danych. Wprawdzie trwałość dysków jest teraz wzmożona, ale stosunkowo często zmieniają się technologie i ma miejsce rewolucja. Co zaś dotyczy serwera: własny dla niewielkiej biblioteki jest, z wielu (wyliczonych w tekście) powodów, rozwiązaniem kiepskim, zatem lepiej się w to nie wdawać. Jeśli nie ma szans na wspólnotę, też często niedobłą, pozostaje korzystanie z **chmury** – co jest przez wielu znawców (ale praktyków już niekoniecznie) sugerowane i w tej książce również widzę taką odpowiedź. Którą potraktowałbym jako obowiązujące zalecenie, gdyby nie szereg wątpliwości, zgłoszonych nieco wcześniej przez... Aleksandra Radwańskiego³. No to właściwie jak to jest?

Oczywiście natomiast skomputeryzowana biblioteka, mała lub duża, nie miałaby racji bytu bez podłączenia do sieci. Autor sugeruje co najmniej dwa łącza, koniecznie kablowe, osobne dla publiczności, a drugie – dla własnych procesów samej biblioteki. To niewielkiej bibliotece powinno wystarczyć, jakkolwiek zapewne przydałby się router.

Technologiczną zmorą wszystkich bibliotek jest obecnie park informatyczny: zapewnienie sprawnych i wystarczająco licznych urządzeń odbiorczych. Rzecz w tym, że komputery mają optymalny żywot stosunkowo krótki, wymiany kosztują krocie i rujnują budżety, a publiczność w ich zużywaniu gorliwie pomaga. Aleksander Radwański namawia więc do nastawienia się na własne urządzenia odbiorcze **użytkowników**, przy zapewnieniu stosownych wejść oraz kompatybilności. Jednak obawiam się, że to wcale nie jest takie proste.

Nawet bowiem w najbardziej zinternetyzowanych i dostatnich krajach daleko nie wszyscy mają własne tablety (smartfony są bezużyteczne) oraz niekoniecznie szwendają się z nimi po bibliotekach, a poza tym

³ A. Radwański, *Chmura bibliotek*, „Biuletyn EBIB” 2015, nr 3, s. 4–5 [dokument elektroniczny].

jest oczywiste, że preferuje się duże monitory, więc komputerów bibliotecznych, a nie kieszonkowe mikroekraniki⁴. Jeżeli do tego dorzucić zagrożenie (jednak) zawirusowaniem oraz długotrwałe korowody z podłączeniem się do bibliotecznych systemów – to nie wygląda to na rozwiązanie optymalne. Mimo wszystko.

Autor odnosi się również do, szczególnie newralgicznej, kwestii opracowania bibliotecznych katalogów, bezdyskusyjnie sugerując wykorzystanie oferty katalogowania centralnego. I oczywiście ma rację: tak postępuje się na całym świecie⁵. A już inna sprawa, że to, co trafne globalnie, u nas akurat bywa kłopotliwe. Mamy wszak dwa ośrodki pretendujące do centralnego katalogowania w skali kraju. Otóż jak na taki niewielki kraj to chyba o jeden za dużo.

Jednocześnie Radwański nie neguje możliwości kreowania **lokalnego** katalogu według środowiskowych haseł przedmiotowych, ale nie dostrzegam entuzjazmu. Podobny sceptycyzm wyrażają także rozmaici inni specjaliści⁶. Folksonomia oraz tagowanie – a to do tej strefy właśnie należy – nie wygląda (na razie?) na rozwiązanie rzeczywiście doniosłe i gotowe do powszechnego zastosowania. Mimo bardzo licznych opinii entuzjastycznych: to chyba dopiero zaledwie możliwość.

Tych oraz innych wątpliwości autor nie ukrywa ani nie trywializuje, dostrzegając całe naręcze kłopotów praktycznych. Ale namawia do zmierzania się z nimi bez zniechęcenia, bo to przecież zwyczajność oraz samo życie. Tak jest prawie zawsze i wszędzie. Ja zaś z kolei nie mam wątpliwości, że ta jego mądra książka, mimo niewielkich rozmiarów, w przełamaniu wielu utrudnień okaże się bardzo pomocna.

⁴ R. Jones, N. Grayson, *Changing the dialogue. The story of the award-winning Alan-Gilbert Learning Commons*, w: *User experience in libraries. Applying ethnography and human-centered design*, New York–London 2016, s. 126; M. Westburg, *UX and small academic libraries*, w: *User experience in libraries...*, s. 137.

⁵ J. Wu, *Nowyje perspektywy biblioteki w XXI w.*, w: *Bibliotecznoje dielo za rubieżom: koniec XX – naczato XXI wieka*, Moskwa 2009 s. 61.

⁶ T. Mann, *The Oxford guide to library research*, New York 2015, s. 25.